

Bezczelność akademii

27 października 2024

Ostatnimi czasy krąży w sieci jeden z kolejnych apeli. Tym razem nasi naukowcy uważają, że ich finansowa sytuacja jest katastrofalna. Domagają się – rzecz jasna – zmian i zwiększenia finansowania. Aż się chce wykrzyknąć: ŻE CO?!! Przecież w ostatnich latach finansowanie nauki poprawiło się znacznie. Widziałem osobę kompletnie niekompetentną, nie rozumiejącą działania spektrometru mas. Wysłana ona została na staż do Szwajcarii i ktoś za to musiał zapłacić trochę monet. W czasach, kiedy ja studiowałem – czy miałem nieszczęście studiować – byłaby to rzecz nie do pomyślenia. Wtedy bowiem jeszcze nie było aż tak dużo pieniędzy. Załapałem się jednak z okresem studiów na zmiany wprowadzane przez Kudrycką. Wtenczas zwykło się mawiać – nie masz pomysłu na życie, to idź na doktorat. Na tak zwane studia trzeciego stopnia przyjmowano masę miernoty. Pasjonatom przedmiotu pokazywano natomiast figę. Żeby kogoś było stać na przyjmowanie jednostek intelektualnie miernych na doktorat, to musi dysponować bardzo dużymi środkami pieniężnymi. W normalnej sytuacji jest to szkoda czasu, pieniędzy i środków.

Gadanie, że oni nie mają pieniędzy, jest zwykłą bezczelnością. Przypomina zrządzenie zepsutego człowieka, któremu urzędowo naciera się tyłek miodem; a ten jeszcze robi awanturę, że gryczany, a nie akacjowy. Popatrzmy, oni jeżdżą sobie na konferencje na Hawaje na przykład, które to konferencje nieraz są o niczym. Ktoś musi zapłacić za ich bilety lotnicze, za zakwaterowanie w hotelu, za żarcie podczas takiej konferencji, a jeszcze dać im jakieś kieszonkowe, żeby nasi biedacy nie chodzili na konferencji głodni. Aha, no i żeby nie przyszły im do głowy takie pomysły jak zasmrodzenie całego hotelu smażoną psią karmą. Normalnego człowieka – tak zwanego Szarego Ludzia Spoza Akademii – na takie luksusy nie stać. Obecnie to stać jest uczelnie, aby studentów trzeciego roku – wybranych, co

poniektórych – wysłać do Korei na międzynarodowy kongres. Tak poniekąd też było od dawna. Sam pamiętam, jak się z dużą niechęcią patrzyło na takie wtenczas protegowane jednostki. Jeden taki człowieczek był na konferencji w Rumunii i nawet nie pamiętał, o czym się tam produkował, co wystawiał. Inny to się musiał rozbijać po Polsce. Teraz to wystarczy być cokolwiek ambitniejszym na niektórych uczelniach, żeby pojechać rychło za granicę. Natomiast kiedyś była rozmowa jasna: bo kasy nie ma i trzeba radzić sobie samemu.

No i mówi się, że katastrofalna sytuacja finansowa. Gdzie?! – trzeba się zapytać. Szklane domy za setki milionów złotych wyrastają dosłownie wszędzie. W Krakowie czy w Poznaniu zaistniała konieczność budowania nowych obiektów, położonych bardziej na uboczu miasta – czy to na Ruczaju, czy to na Morasku. Natomiast w Warszawie na niesławnym uniwersytecie są one potrzebne jak rybie rower. Postawiono słynną zieloną budę na Miecznikowa – wydział biologiczny. A przecież żaden nowy zakład czy pracownia nie powstało. Więcej, stworzono architektonicznego i mało ergonomicznego potworka będącego pustym w środku. A przecież wszelkie zakłady i instytuty biologiczne spokojnie mieściły się w części budynku Matematyki na Banacha, w gmachu Geologii, na Pawińskiego oraz koło Ogrodu Botanicznego i Obserwatorium Astronomicznego. Po prostu ów budynek był fanaberią ówczesnego rektora, nieświętej pamięci Węgleńskiego. Do tego w 2009 roku zaczęły rosnać inne szkieletory, budynki niejakiego Centrum Nowych Technologii; oczywiście ostatnie, z czym miały cokolwiek wspólnego, to rzeczne nowe technologie. Jakoś nikogo w nich nie oświeciło, podobnie też nie stało się od ich obecności. Skoro zatem można sobie pozwolić na marnotrawienie środków finansowych, to gdzie tu mówić o braku pieniędzy. Akademia zachowuje się tutaj jak arabscy krezusi wydający pieniądze na zbytki typu skoczni narciarskiej w Dubaju.

Jeszcze jako jeden przykład można przytoczyć źle zorganizowane ekspedycje badawcze kończące się na bardzo słabych wynikach i

zabieraniu w egzotyczne zakątki świata kochanek i kochanków. Oczywiście jedynym wyjaśnieniem obecności wyżej wspomnianych było stwierdzenie: a bo oni się daną dziedziną nauki interesują. Tylko kto się w danym gronie jakoś choćby częściowo nie interesował. No i zmarnowano tak 30 000 złotych. Do tego doliczyć trzeba ewentualne koszty obsługi konsularnej; pieniądze się czasem potrafią skończyć, a dana jednostka musi zapłacić za ściągnięcie delikwentów do siebie. Stąd doliczyć należy jakieś piętnaście do dwudziestu tysięcy. I kogo normalnie stać na taką rozrzutność. Na pewno nie ludzi biednych; a za biedaczyny boże akademicy się lubią podawać.

Bezczelność środowisk akademickich wyraża się również inaczej. Tyle oni sobie wycierają gębę poszukiwaniem prawdy. Jeden z krajowych uniwersytetów – konkretnie w Łodzi – reklamuje jako jedno ze swoich haseł odwagę w poszukiwaniu prawdy. Przed charakterystycznym budynkiem rektoratu stoi pomnik Tadeusza Kotarbińskiego, a tam wyryta jego maksyma: jeżeli już podważysz, co się da podważyć, wiesz, co jest prawdziwe. Zapewne Kotarbiński gdzieś tam w zaświatach wścieklicy dostał, jak widział, co się wyprawiało anno Domini 2020. Otóż przybył niesławny chiński zarazek. Akademicy ochoczo włączyli się do nakręcania hysterii wokół tego zarazka. Gadali, jaki on jest niebezpieczny i straszny, jak powoduje wszystkie możliwe choroby – zawały serca, udary mózgu, nowotwory wszelakie, szkoda, że jeszcze nie odpowiadał za wypadki drogowe i samobójstwa – dopełniałoby to obrazu plagi egipskiej. Tak trąbili, łązić w maseczkach, siedzieć w domu. Im to było dobrze, bo na państwowym brali pensje i sobie balowali w najlepsze. Studenckich wypocin czasem posłuchali na Teamsie, a tak to... Niech żyje bal! Nie trzeba nic robić, a my ten stan kochamy! Poza tym zniżali się do najgorszych propagandowych wybryków. Osiągnęło to wzmiankowany przez niektórych z nich poziom doktryny Łysenki oraz biologii radzieckiej. Ci akademicy walczyli z rzeczywistością na poziomie równym jak wspomniany wcześniej Łysenko czy Olga Lepieszyńska; ta, która próbowała podważyć stwierdzenie Virchowa *omnis cellula e*

cellula – każda komórka pochodzi z innej komórki. I to popieranie tego całego knowania socjalistycznych rządów i wielkich korporacji było na poziomie mieszania przez nią różnych roztworów i dowodzenia samoródtwa. I gdzie tu ta veritas, prawda. Okazuje się, że dla akademików procesy socjopolityczne czy socjoekonomiczne stoją wyżej niż procesy przyrodnicze. Jakoś gdy nastąpiła pożoga na Ukrainie, zaczęło się przyklejanie żółto-niebieskich flag, a o chińskim zarazku raczono zapomnieć. Już stał się passe podobnie jak doktryny Łysenki czy Lepieszyńskiej.

Czytałem sobie niedawno, że w Gdańsku uruchomiono laboratorium mające się zajmować koronawirusami. I jaki mają oni refleks! Normalnie, gdyby była to taka niebezpieczna zaraza, to ci różni lekarze, biolodzy molekularni – każdy większy niż inni, mikrobiolodzy, a także szereg innych naukowych nacji (immunolodzy, chemicy organicy, farmakolodzy, biochemicy), powinni rzucić się do szukania na nią leku. Powinno być w niczym epickiej opowiastce rodem z łowców mikrobów Paula de Kruifa. (Stara popularnonaukowa książka, która niejednego zainteresowała medycyną, mikrobiologią czy parazytologią). A tu nic. Był za to bał, i był wielki kac. Szkoda tylko, że nie moralny.

Kogo obchodzi jakaś tam prawda. To takie dziewiętnastowieczne myślenie – wykrzyczeliby współcześni akademicy. To jest takie przestarzałe. Teraz to trzeba bić pokłony instytucjom oraz socjalistycznym politykom prowadzącym nas ku nowemu wspaniałemu światu. Ba, można nawet twierdzić, że akademia jest jednym z jego ramion wymierzonym w społeczeństwo. O tym, że intelektualistom dobrze jest na państwowym żłobie, pisało już wielu. Friedrich von Hayek popełnił esej Intelektualiści a socjalizm, w jakim dowodził, że tej kaście społecznej jest bardzo dobrze na państwowym. Nie muszą bowiem zajmować się niczym sensownym, ani ciekawym. W gruncie rzeczy tak się dzieje. Kiedy bowiem prześledzi się dzieje kariery zawodowej młodego adepta nauki, to przychodzi na studia z nadzieją

rozwiązywania problemów znaczących, ciekawych. Później pisze jeszcze stosunkowo ciekawy przeglądowy licencjat. Następnie magisterium jest już mniej pociągające i bardziej hermetyczne. Doktorat to już mało kogo zazwyczaj obchodzi poza nim i promotorem. A jak dożyje szczęśliwie do habilitacji, to wyłożona rozprawa będzie porastać kurzem w uniwersyteckiej bibliotece. Po prostu ludzie nauki – nie bójmy się tego stwierdzenia – zajmują się pierdołami. To nie są żadni Newtonowie, Darwinowie, Faradayowie, Maxwellowie czy chociażby Edisonowie. Oni tylko gonią za cytacjami, grantami, w efekcie izolują się od świata rzeczywistego i żyją fantasmagoriami. Zajmują się problemami bardzo szczegółowymi, które nikogo nie obchodzą, piszą prace, których nikt nie czyta. W dodatku myślą, że społeczeństwo będzie w nieskończoność utrzymywać ich fanaberie. Oczywiście, socjalistycznym politykom są oni potrzebni jako propagandziści. Przecież naukowe autorytety ułatwiały wmawianie ludziom tej całej plandemicznej ściemy.

I nie należy się dziwić, że w 1975 roku niejaki Paul Feyerabend zasugerował oddzielenie nauki od państwa. Wywołał tym stwierdzeniem niemały szok, bo jak to... rozdzielać niosącą kaganek oświaty akademię od państwa. Co to za herezje są! Problem jest jednak taki, że akademicy już mają gdzieś prawdę i nie niosą kaganka oświaty, tylko propagandę. Innym takim przykładem jest gender i wmawianie istnienia jakiejś astronomicznej ilości płci. A ja zawsze mówię, jak kobiecie pod wpływem siły woli wyrośnie prącie, to wtedy w to uwierzę. Jest to kolejna pseudonauka propagandowa na poziomie Łysenkizmu; tolerowana na wielu uczelniach, nie tylko polskich. W dodatku nawet minister Gowin – prawdopodobnie największy szkodnik w nauce polskiej od czasów stalinizmu – mówił, że będzie bronił gender jak Rejtan, że to obrona wolności akademickiej. Szkoda, że nikt mu nie powiedział, że równie dobrze można by na wydziale geologicznym utworzyć katedrę płaskiej Ziemi.

Jeżeli zatem akademik mówi o poszukiwaniu prawdy,

najprawdopodobniej was zwodzi. On bowiem już został ustawiony przez socjalistów w wygodnej dla niego roli inżyniera dusz. Do tego bardziej mu zależy na grantach, cytacjach i zagranicznych drogich wycieczkach niż na jakimś wyświechtanym pojęciu veritas. To ostatnie jest propagandową gadką dla Szarego Ludzia Spoza Akademii.

Na zakończenie bezczelność wyraża się jeszcze w inny sposób. Znałem takiego tchórzliwego człowieka, nawet tematykę badawczą zmienił z powodu swojego przyrodzonego tchórzostwa. Człowiek ten był genetycznie leniwy, stopnie w dobrym warszawskim liceum dostawał za tatusia, czerwonego prominenta; belfrowie bali się bowiem mu podskoczyć. A innym to zarzucał nieróbstwo. Jeden z jego ulubionych tekstów: a opieprzałeś się! Szary Ludź Spoza Akademii dla tego synka komunisty był genetycznym nierobem. Nic nie robił. Jak to brzmi w ustach człowieka, którego trzeba było mocno poganiać, aby cokolwiek zrobił. W dodatku jak się go posłuchało, to robił niewiele, a przede wszystkim był bardzo wygodny. Powiedziałem mu swego czasu: mogliśmy poszukiwać zwierząt takich jak Limnognathia maerski (bezkręgowiec tak niezwykle, że nadano mu rangę nowego typu), a wolałeś się zająć nudną rodziną chwastów, jeszcze u intelektualnego impotentu. No i później biegał na skargi do innego mojego kumpla, że taką potwarz ode mnie usłyszał. A co miał usłyszeć?! – tak swoją drogą. Bo to jednostka wygodna i leniwa. Po prostu obawiał się ciężkiej pracy. Lepiej było iść po najmniejszej linii oporu. Zresztą, co tu się dużo rozpisywać, wystarczyło spojrzeć na tego człowieka, aby się przekonać o bezczelności akademii. Więcej dowodów nie trzeba było.

Taki epilog. Oczywiście – jakże słusznie – zarzucone będzie mi, że wylałem żółć na pewną instytucję społeczną, a nie proponuję żadnych rozwiązań. W jednym z następnych swoich tekstów przedstawię pewną koncepcję na reformę akademii. Zdaję sobie bowiem sprawę, że rozwiązanie sugerowane przez ludzi tak różnych jak Paul Feyerabend czy Grzegorz Braun – oddzielenie

nauki od państwa – jest w obecnej konstelacji politycznej mało realistyczne. Generalnie jednak uczestniczyło się w szeregu dyskusji o reformie akademii i zawsze sprowadzało się do kwestii, od której zaczęto ten tekst. A mianowicie, żeby było więcej pieniędzy do sprzeniewierzenia.

Autorstwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net